

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

WITOŁD ZIEMBICKI

SOBIESCIANA

Przyczynki do pracy: „Jan Sobieski jako myśliwy“

(Ciąg dalszy)

DWA LISTY

Marja Kazimiera, późniejsza królowa, wówczas jeszcze Zamoyska, pisze do Sobieskiego, z Paryża, list pod datą 20 lipca 1663[37]). Przytaczam z niego ustęp z wiadomością o uroczystościach dworskich, połączonych z polowaniem[38]). Brzmi on jak następuje:[39])

„Je reviens à présent de Vincennes[40]) où Mr le Grand-maître[41]) régale la reine et Monsieur, frère du roi[42]). Premièremet il a donné le plaisir de combat de plusieures bêtes, comme des lions, léopards, ours, taureaux sauvages et de gros chiens, ensuite de quoi la reine a été se promener avec toute la compagnie dedans le parc où

[37]) Kluczycki, Pisma i t. d. (j. w.), t. I, str. 222.

[38]) List jest w całości francuski. Marja Kazimiera władała jednak już wówczas na tyle po polsku, że nieraz wtrącała nietylko pojedyńcze słowa, ale i całe ustępy w tekst francuski. Kluczycki nawet zauważa (t. I, str. 196), że pisownię polską znała nie gorzej od francuskiej, w której robiła błędy. Jest rzeczą znaną, iż w owych czasach nawet osoby z dobrego towarzystwa francuskiego, były w niezgodzie z ortografją. W wydaniu Kluczyckiego list utrzymany jest w pisowni oryginalnej. Tu jednak przytaczam odnośny ustęp w ortografji, dziś obowiązującej.

[39]) W przekładzie polskim:
"...Wracam właśnie z Vincennes, gdzie Wielki Mistrz zabawia królową i brata królewskiego. Urządził on najpierw widowisko walki rozmaitych zwierząt, jak lwów, lampartów, niedźwiedzi, dzikich byków i wielkich psów, poczem królowa z całem towarzystwem odbywała przejażdżkę po parku, gdzie przygotowano najrozmaitsze rodzaje polowania, rozgrywające się przed karocami. Następnie wydano kolację o niewidzianym przepychu, z muzyką. W końcu urządził on przedstawienie teatralne i bal dla króla. Trzyma on się osobno wraz ze swą Djaną".

[40]) Zwierzyniec w Vincennes założył Mazarini w roku 1654. Zczasem zaczęto tam urządzać widowiska, jak w starożytności. Widzowie zasiadali wokół, na galerjach, a na arenie, wypuszczone z klatek, walczyły z sobą zwierzęta. Loisel w dziele swem o menażerjach (t. II, str. 98) podaje, że zachowały się opisy czterech podobnych spektaklów. Jednym z nich był właśnie festyn, o którym pisze Marja Kazimiera. Odbył się w lipcu 1663 roku, a urządzony był na cześć młodej królowej francuskiej, Marji Teresy, córki Filipa Hiszpańskiego, zaślubionej przed dwoma laty Ludwikowi XIV.

[41]) Trudno oznaczyć, o kim tu mowa. Czy Grand-maître de la Cour? Czy też Marja Kazimiera, lubująca się w przenośniach, nazwała tak Colberta, który był już wtedy u władzy.

[42]) Monsieur, znaczy brat królewski. Był to Filip, piastujący godność księcia orleańskiego po śmierci wspomnianego wyżej Gastona, swego stryja.

l'on avait préparé plusieurs sortes de chasse, qui se sont rencontrées devant les carosses. Ensuite de quoi on a donné la plus superbe collation que l'on a jamais vue, avec les violons[43]). Après quoi il a donné la comédie et grand bal pour le roi. Il fait bande à part avec sa Diane"[44]).

Drugi list pochodzi od Jana Sobieskiego, piszącego z Garwolina do Marji Kazimiery, już jako swej żony, dnia 7 czerwca 1665. Jest w nim następujący ustęp o polowaniu:

"...Mr Chevalier [45]) wyprawuj WMć moja Panno do mnie jako najprędzej, bo cale nic po tym trawić mu się tam w Warszawie, o konie też łatwiej w naszym kraju, byle się tam jakokolwiek zawlókł. Niechaj tego czasu do polowania nie opuszcza, nad który niemasz nic piękniejszego".

GŁOSY HISTORYKÓW, POSŁÓW I PAMIĘTNIKARZY

Fragmentaryczne wzmianki o łowach Sobieskiego znajdujemy u niejednego historyka. Wspominano o nich mimochodem, gdy zabawa myśliwska zasługiwała na taką wzmiankę ze względu na inne wydarzenia lub okoliczności. Nie będę tu zajmował się wyliczaniem takich przykładów.

Wspomnę tylko o jednym historyku, a to o Polaku, z którego tendencyjnemi i uwłaczającemi pamięci Wielkiego Króla wywodami, rozprawił się w swoim czasie znakomity uczony Czermak.

Jest to Waliszewski[46]). A wspomnę o nim dlatego, bo malując w dziele swem o „Marysieńce", w rozdziale pod tytułem: „Déchéance" rzekomą gnuśność Sobieskiego i pomawiając go o poddanie się zupełnej apatji w ostatnim okresie życia, pod wpływem zawodów, — dodaje, że był on wtedy bezwzględnym amatorem spoczynku, który przerywał jedynie dla polowania. Dobrze, że bodaj tyle mu przyznaje. Faktem jest, jak zobaczymy później, że Jan III polował prawie do ostatnich chwil życia. Tak samo jednak, jak faktem jest, że nigdy — jak słusznie podnosi Czermak[47]) — nie upadł on na duchu i że do skonu prawie zajmował się sprawami publicznemi. Jeszcze w zimie, w jego życiu ostatniej, 1695/96, odbywały się z udziałem chorego króla codzienne niemal konferencje w celu załatwienia smutnej sprawy wileńskiej, t. j. gorszącego i szkodliwego dla Rzeczypospolitej sporu hetmana W. litewskiego Kazimierza Sapiehy z biskupem wileńskim, Konstantym Brzostowskim; jeszcze w kwietniu 1696, a więc na dwa miesiące przed śmiercią, rozprawia Jan III o projekcie nowej wyprawy przeciw Turkom![48]).

W relacjach posłów cudzoziemskich również nie brak uwag o polowaniach królewskich.

Tak np. pod datą 7 listopada 1688, pisze nuncjusz Cantelmi, że król leży chory, bo przeziębił się na polowaniu[49]).

Z roku 1694 mamy relację rezydenta austrjackiego, Jerzego Schiemonskiego, który donosi, że król, po przebyciu ciężkiej choroby w zimie 1693/94, ma się już tak dobrze, że „przy zupełnem zdrowiu wyjeżdża na polowanie" (w Żółkwi, w marcu 1694)[50]).

Najwięcej wszakże i — rzecz zrozumiała — najciekawszych wiadomości o polowaniu, jakoteż o tematach pokrewnych, a więc o zwierzynie, o przyrodzie i t. p., dostarczają nam pamiętnikarze, w pierwszej oczywiście linji pamiętnikarze i kronikarze cudzoziemscy, w których umyśle kraj nasz, wraz ze swemi zwyczajami i obyczajami, ze swemi właściwościami i oryginalnościami, budził niemałe zainteresowanie.

Materjał, jaki posiadamy z tego zakresu, uporządkowałem mniejwięcej chronologicznie, wyjmując z każdego autora po kolei te ustępy i te wiadomości, które przyczynią się do oświetlenia nietylko łowów Sobieskiego, ale zarazem do scharakteryzowania epoki. Jedni z nich bawili w Polsce krótko, zatrzymując się tu okazyjnie, w ciągu swych podróży, inni przebywali dłużej, wybrawszy się umyślnie do naszego kraju, inni wreszcie mieszkali stale, przez długie lata.

Z wielu autorów, którzy zajmowali się Polską w owych czasach, nie wszyscy oczywiście dostarczają materjału, nas w tej chwili obchodzącego. W rachubę wchodzą tu z obcych autorów: Avril, Beaujeu, Connor, Coyer, Dalerac, Dupont, Regnard, jakoteż ksiądz francuski, ukrywający się pod literami F. de S.. Z naszych zaś autorów: Jan Stanisław Jabłonowski, syn hetmana i Sabina Grzegorzewska, która zapoznaje nas z przeżyciami Marji Wessłówny i Zofji Leszczyńskiej.

BEAUJEU — DALERAC

Z najwcześniejszego okresu panowania Jana III pochodzą pamiętniki kawalera de Beaujeu[51]) i drugie, których autorem jest Franciszek Dalerac[52]). Są one też

[43]) Tak wyrażano się wówczas o kapeli, orkiestrze.

[44]) Styl niezupełnie zrozumiały. Zapewne mowa o tem, że król trzymał się na uboczu, w towarzystwie swej faworyty. Znając ówczesne zwyczaje, wiemy, że, pomimo niedawnej daty ślubu, było to możliwe. Przypuszczalnie chodzi tu o pannę La Vallière. Przenośnia o Djanie może mieć powód podwójny. Najpierw był to dzień, poświęcony łowom. Powtóre, może te być aluzja do słynnej i zbyt silnie żyjącej wówczas w tradycji Francuzów kochanki Henryka II, Djany de Poitiers.

[45]) Brat Marji Kazimiery, Ludwik.

[46]) Waliszewski Kazimierz, Marysieńka, Marie de la Grange d'Arquien, reine de Pologne, femme de Sobieski (1641—1716). Paris, 1898.

[47]) Czermak Wiktor, Marja Kazimiera Sobieska, Przegląd Polski, 1899, także w osobnej odbitce.

[48]) Zob. u Czermaka, j. w.

[49]) Zob.: Rykaczewski E., Relacje nuncjuszów apostolskich i innych osób o Polsce (1548—1690), t. I—II, Wydawn. Bibljoteki polskiej w Paryżu, Berlin-Poznań, 1864. Tu m. i. listy nuncjusza Cantelmi do kardynała Cybo, w t. II od str. 457. List powyższy na str. 460.

[50]) Zob.: Mosbach August, Wiadomości do dziejów polskich z Archiwum prowincji śląskiej, Ostrów, 1860. Tu na str. 380 do 393 relacja z r. 1694, rezydenta austrjackiego w Warszawie, Jerzego Schiemonskiego.

Zob. też Ziembicki Witołd, Zdrowie i niezdrowie Jana Sobieskiego, Poznań 1931, str. 22. Także Arch. historji i filozofji medycyny, t. X—XII.

[51]) Mémoires du Chevalier de Beaujeu contenant ses divers voyages tant en Pologne, en Allemagne, en Hongrie... depuis l'année 1679, Paris, 1698. — Przekład polski Al. Kraushara: Pamiętniki kawalera de Beaujeu, Kraków, 1883.

[52]) Dalerac Franc., Les anecdotes de Pologne ou mémoires secrets du règne de Jean Sobieski III du nom, Paris, 1699. Dwa tomy.

z pamiętników, przez nas omawianych, najwcześniejsze także co do daty wydania. Umieszczam je jednak pod wspólnym nagłówkiem, a to dlatego, że oba wymienione nazwiska mają należeć do tejsamej osobistości[53]). Jest to Dalerac, dworzanin i sekretarz Marji Kazimiery, zarazem agent przyboczny króla Jana. Pod przedmową wydania anonimowego swych pamiętników[54]) podpisał się D. Na końcu tomu zaś przytacza pisane do siebie listy, a te adresowane są na nazwisko Dalerac, lub też D'Alerac.

W pamiętnikach jego, wydanych pod pseudonimem Beaujeu, znajdujemy tylko krótką wzmiankę o polowaniach, tę mianowicie, że jesień w roku 1680 spędził król wraz z dworem na łowach pod granicą węgierską, a jesienią roku następnego, 1681, polowano w okolicach Jaworowa, gdzie dwór pozostawał wtedy przez 11 miesięcy[55]).

W drugich natomiast pamiętnikach mieści się obszerny ustęp o grubej zwierzynie, a to w opisie Litwy. Muszę zauważyć, że inny autor, poważny i wiarygodny, również Francuz[56]), zarzuca Dalerakowi rozmaite fałsze w przedstawianiu osób i wypadków. Gdy zapoznamy się z treścią ustępu, który tu przytoczę w całości, zrozumiemy, że Dalerac powtarzał zapewne to wszystko, co zasłyszał, nie bardzo zastanawiając się nad źródłem, a więc może bezkrytycznie. To też i o zwierzętach powtórzył gadki, brzmiące dla krytycznego czytelnika naiwnie, nie należy jednak zapominać, że były to czasy pełne jeszcze przesądów i zabobonów, rozpowszechnionych nawet wśród warstwy wykształconej.

Otóż o Litwie pisze Dalerac m. i. co następuje:[57])

„...Litwa zachowuje wszystkie swoje właściwości z nadzwyczajną dumą i wyniosłością. Nawet usposobienie szlachty jest jakieś odrębne, jakieś bardziej szorstkie, a przytem nacechowane większą fanfaronadą, niż u Polaków. Lud stoi na niższym stopniu cywilizacji, niż lud polski, jest zarazem dzikszy. Kraj też dzikszy i więcej zalesiony. Klimat surowszy, zimniejszy, co jest naturalne wobec większej bliskości bieguna. W lasach litewskich żyją zwierzęta, nieznane w Polsce: stada łosi i dzikich byków[58]). Jest to rodzaj bawołów, bardzo złych i tak strasznych, że — rzekłbyś — ogień tryska im z oczu. Rogi mają okrągłe i krótkie, posiadają też brodę jak capy, sierść długą, barwy czarniawej. Skóra tych zwierząt odznacza się szczególniejszą własnością: robi się z niej przepaski, zabezpieczające kobietę ciężarną przed poronieniem. Królowa polska ma właśnie taką opaskę, dzięki czemu mogła ona ryzykować bez szkody pięćsetmilową drogę, wyjeżdżając dwa razy na poród do Francji i to w miesiącach najgroźniejszych dla tego stanu. Co do łosia, posiada on znowu własność cudowną w lewej nodze, a mianowicie władzę leczenia padaczki[59]) i uśmierzania bólu głowy. Powiadają, że zwierzę to, w razie bólu głowy, albo gdy mu gorąco, samo pomaga sobie w ten sposób, że lewą nogą skrobie się po za uchem. Otóż wtedy, kiedy to czyni, należy je strzelać, jeżeli się chce uchwycić ową własność lewej nogi. Z racic łosia robią pierścionki i branzolety, poszukiwane nawet w obcych krajach, nie sądzę jednak, by miały one tę moc leczniczą, jaką im przypisują. Zwierz ten ma budowę jelenia, a jest maści szarawej. Rogi ma szerokie, niby daniel i silnie rozgałęzione, wysokość dorównywa największym koniom. Mięso jego jadają na Litwie, podobnie jak gdzieindziej mięso jelenia lub sarny. Smak jego jednak jest słodkawy i mdły, tak, że, zdaniem mojem, jest to potrawa bardzo niedobra.

„Lasy litewskie pełne są łosi, dzikich byków, niedźwiedzi, jeleni, dzików, sarn, białych wilków i lisów, białych lub czarnych. Są tu i gronostaje, a także specjalny rodzaj wiewiórek[60]) i niezliczone mnóstwo innych, bardzo szczególnych zwierząt. Jest m. i. gatunek drapieżników, zwany w Polsce rysiami[61]), dostarczający bogatego, pięknego i bardzo delikatnego futra o wysokiej cenie. Widziałem takie futra po 300 écus[62]). Podobne futra perskie mają czarne plamy na tle białem, o długim i cienkim włosie, szwedzkie zaś czerwonawe. Natomiast litewskie mają piękną barwę szaro-stalową. Ryś ma głowę kota, a drapieżność tygrysa.

„Łatwo się domyślić, że odległa ta kraina posiada także i ptaki, sobie właściwe. Należą do nich orły białe i czarne, orliki, bociany, żórawie, sępy i tysiące innych, których nie wyszczególniam. Wymienię tylko rodzaj kormorana o dziobie szerokim na kształt łopaty i z wiszącą na szyi skórą, jakby torbą, rozszerzającą się odpowiednio do rozmiarów połkniętej ryby Może ona pomieścić szczupaka, zadziwiającej wielkości[63]).

„Lasy litewskie roją się od pszczół, które w pniach drzewnych urządzają sobie barci. Miód jest tu biały, o woni fjołków, a smaku przepysznym, co dowodzi, że do wyrabiania go niekoniecznie potrzebne są najpiękniejsze i najwonniejsze kwiaty. Takich bowiem niema na Litwie. Jest to klimat zbyt surowy. Niemniej istnieją tu kwiaty inne, właściwe tym okolicom i one to nadają miodowi ów smak delikatny i zapach przemiły.

„Wszyscy wiedzą, że niedźwiedzie przepadają za miodem i że drapią się na najwyższe drzewa, dla wybierania go z barci. Nadmienić trzeba, że jednak tylko te są dla nich dostępne, których wieśniacy nie zabezpieczyli przykrywą drewnianą, posiadającą mały tylko otwór do przepuszczania pszczół. To, co teraz powiem, wyda się

[53]) Zob. w przedmowie Kraushara do przekładu pamiętników kawalera de Beaujeu.

[54]) Les anecdotes, j. w.

[55]) Beaujeu, j. w., str. 134 i 189.

[56]) Dupont. Będzie o nim mowa niżej.

[57]) Dalerac, t. II, str. 337. Tekst podaję we własnym przekładzie polskim.

[58]) Autor mówi o dwóch gatunkach, nazywając je: des Taureaux sauvages et des Urus, jakkolwiek, ściśle biorąc, nazwa ta oznacza właściwie tosamo, to jest tura. Tej nieścisłości nie można się jednak dziwić, skoro zawodowi nawet przyrodnicy i to jeszcze w XIX wieku, popełniali rażące konfuzje w tym przedmiocie. W czasie, gdy Dalerac bawił w Polsce, istniał de facto już tylko żubr, tury bowiem wyginęły w pierwszej połowie tegoż wieku (XVII).

[59]) Haut-mal, epilepsja, padaczka, zwana popularnie chorobą Św. Walentego.

[60]) Autor nazywa je „de petits-gris". Jest to odmiana wiewiórki, właściwa północnej Rosji i Syberji.

[61]) Autor pisze: „Une espèce de loups-cerviers, appelés rich en Pologne".

[62]) Écu, dawna moneta francuska, odpowiadająca mniejwięcej trzem liwrom, czyli późniejszym frankom.

[63]) Odnosi się to niewątpliwie do pelikana.

z pewnością podejrzanem, a przecież będzie przedstawieniem zdarzenia prawdziwego. Otóż po starych, zrąbanych drzewach, pozostają wielkie pnie, nieraz głęboko wydrążone. W takich jamach pszczoły gromadzą często miód i to w ogromnej ilości, tak, że z czasem wypełnia on całą próżnię, aż do samej powierzchni. Razu pewnego nocną porą, człek jeden, przypadkowo wpadł do podobnej jamy i nie mógł się z niej wydostać, bo wszelkie wysiłki uwolnienia się z lepkiej topieli, były daremne. Tymczasem, również nocną porą, nadszedł niedźwiedź i w zamiarze nabrania sobie miodu, wsunął łapę do wypełnionej przysmakiem czeluści. Chłop, nie wiele myśląc, chwycił się oburącz tego niespodzianego punktu oparcia, a niedźwiedź, zdziwiony równie niespodzianym dla niego uchwytem, szarpnął, dobrze pociągnął i wydobył łapę razem z człowiekiem. W ten sposób spotkanie, w innych warunkach zgubne, było dla tego chłopa zbawieniem.

„Za czasów króla Kazimierza[64]) zdarzyło się coś niemniej dziwnego. Razu pewnego król, polując w lasach litewskich, znalazł w puszczy chłopca w wieku może lat 15, obrośniętego, głuchoniemego, którego potem można było oglądać w założonym przez królowę szpitalu Sióstr Miłosierdzia w Warszawie[65]). (Widział go tam książę Gramont[66]), który przy armji polskiej brał udział w wojnie z Moskwą). Chłopak ten lubiał miód, jak niedźwiedź, a kiedy ujrzał jakiego niedźwiedzia (wiadomo, że zwierzęta te oprowadzane bywają po miastach), wdawał się z nim w zabawę, nie bojąc się zupełnie i nie doznając też żadnej krzywdy od tych zwierząt. Wnioskowano więc, że biedak ten był niegdyś z kołyski porwany przez niedźwiedzicę, zapewne sytą i niegłodną i że ta go następnie w swej jaskini wykarmiła wraz z niedźwiedziętami. Coprawda jest to tylko przypuszczenie, ale co do chłopca, że taki był, nie ulega wątpliwości, bo widziały go tysiące ludzi.

„Litwa nie odznacza się dobrą kuchnią, toteż pobyt w tym kraju nie należy do przyjemności. Bezwątpienia — istnieje tu zadziwiająca obfitość wszelakiej zwierzyny, kuropatw, jarząbków, ptactwa wodnego, słowem dziczyzny, ale drób, mięsiwo zwyczajne, ryby, są to rzeczy zupełnie tu nie cenione i jakby nie istniejące. Zły chleb, brak owoców, niemniej jak owych delikatesów, właściwych krajom zagranicznym, z któremi Litwini żadnych nie uprawiają stosunków. Jedynie wina węgierskie sprowadza się tu za drogie pieniądze, bo bez tych win wykwintna uczta nie da się pomyśleć. Inne rzeczy są nieznane. Nie pamiętam w życiu tak złego wiktu, jak za mego tu pobytu w czasie sejmu grodzieńskiego, zwłaszcza w poście. Ponieważ kraj ten nie ma ani wielkich stawów, ani sztucznych hodowli, można by było zginąć z głodu, gdyby nie sukurs z niedalekiego, bo tylko o 25 mil oddalonego miasta Królewca, dokąd też posyłano po prowianty i skąd przychodziły świeże łososie.

„Pobyt na Litwie należy do najprzykrzejszych. Ludzie mało towarzyscy. Jedyne ich przyjemności, to wino i wstrętna pijatyka. Kto chce tu znaleźć zajęcie, ten musi doprawdy tylko albo polować, albo pić."

[64]) Rozumie się: Jana Kazimierza.

[65]) Siostry Miłosierdzia sprowadziła do Polski istotnie królowa Ludwika Marja, około r. 1650.

[66]) Duc de Gramont (Antoni), marszałek Francji (1604—1678).

REGNARD

Jan Franciszek Regnard, poeta i komedjopisarz francuski, bawił w Polsce w r. 1683, już po odsieczy wiedeńskiej, podróżując po różnych krajach europejskich. Z podróży tej pozostał rodzaj pamiętnika, wydanego drukiem w zbiorowem wydaniu dzieł autora[67]).

Opisując Polskę, mówi on m. in.:[68])

„...Dwór nie zatrzymuje się długo na jednem miejscu. Jest on ustawicznie w drodze i to w drodze najprzyjemniejszej na świecie. Cała Polska jest bowiem najpiękniejszą krainą łowów, jaką kiedykolwiek widziałem, a owo podróżowanie jest jednem, nieprzerwanem, polowaniem".

Regnardowi zawdzięczamy następujące opowiadanie o polowaniu królewskiem:[69])

„...Tego dnia towarzyszyliśmy królowi na łowach. Polska jest krajem, jakby umyślnie dla tej rozrywki stworzonym. Sama jej nazwa już o tem mówi, bo wyraz »*poln*« (sic) oznacza w języku słowiańskim to, co we francuskim „campagne". Ale łowy inaczej tam wyglądają niż we Francji. Oto pewną przestrzeń opasuje się sznurami, wzdłuż których stają żołnierze, tak, by zwierzynę zmusić do wyjścia przez pozostawiony otwór. Aby wszystko, co żyje wyszło stamtąd, wpuszcza się do ogrodzenia pewną ilość psów i naganiaczy. Myśliwi zajmują stanowiska, jeden od drugiego na jakie dwa strzały z muszkietu. A skoro pokaże się cokolwiek, czy to wilk, czy lis, czy sarna i t. p., wypuszcza się odpowiednią ilość chartów, tak, że zwierzę musi być bardzo przebiegłe, by mu się cało ujść udało. Dnia tego było bardzo wielkie polowanie. W ciągu niecałych czterech godzin wzięto przeszło dziesięć sarn, trzy wilki, pięć czy sześć lisów, sporo zajęcy. Ale co czyniło te łowy pięknemi i krwawemi, to odyniec, wielkości konia, który trzymał się długo i skutecznie przeciwko psom, aż został ubity. Uśmiercił on kilka psów, a pokaleczył ich mnóstwo, poranił ludzi i konie. Strzelono doń wreszcie z arkebuza[70]) i tak mu koniec zrobiono. Przywieziono go przed króla, a wszyscy zgodnie przyznali, że nigdy nie widziano podobnie wściekłej bestji. Potrzeba było osobnego wozu do zebrania pokaleczonych psów, tak, jak się zbiera rannych na polu bitwy".

Zanotuję tu jeszcze wzmiankę Regnarda o renach w Laponji, interesującą ze względu na próbę sprowadzania tych zwierząt do Gdańska:[71])

„Każdy z nas zabił rena, dla zabrania skóry do Francji. Kosztowało nas to dwa *écus*. Gdybym się był dobrze wziął do rzeczy, można było spróbować zabrać kilka żywych renów. Nieraz już próbowano tego, ale bezskutecznie. Jeszcze w roku zeszłym sprowadzono trzy czy cztery do Gdańska, gdzie jednak poginęły, nie mogąc znieść klimatu, zbyt dla nich ciepłego". (C. d. n.)

[67]) Oeuvres de Regnard, t. I—V, Paris, 1817. Podróż po Polsce opisana jest w tomie V, na str. 195—245. Wyciągi podał (z wielkiemi błędami) J. Bartoszewicz, w swych Studjach historycznych i literackich, t. I, Kraków, 1880.

[68]) Str. 226. Ustępy cytowane podaję we własnym przekładzie.

[69]) Str. 227.

[70]) Arkebuz, broń palna ręczna, znana od XIV w., w Polsce jednak mało używana i zastępowana znacznie gorszemi rusznicami.

[71]) Str. 149.

Dr. KAZIMIERZ WODZICKI

Z przeszłości i przyszłości żubra w Polsce (1922—1932).

Zagadnienie odrodzenia na ziemiach polskich żubra, choćby w znacznie skromniejszych rozmiarach, niż przed wojną, niewątpliwie należy do tych, które jednoczą przyrodników z myśliwymi. Wszak Polska była do okresu wielkiej wojny jedynym właściwie krajem Europy (poza żubrami kaukazkiemi), który w pierwszym rzędzie dzięki swoim dawnym prawom królewskim i istnieniu największej puszczy - zwierzyńca, jakim była Białowieża, posiadał żubry w swojej naturalnej ostoi. Dlatego też wydaje mi się godnem uwagi poświęcić nieco miejsca zagadnieniu odtworzenia żubra na ziemiach polskich w upływające dziesięciolecie tej pracy.

W pierwszych latach naszej niepodległości, los żubra zdawał się być w zupełności przesądzonym. Z prastarej, rodzimej ostatniej jego ostoi w puszczy białowieskiej, gdzie w ostatnich latach przedwojennych stan żubrów podniósł się do pokaźnej cyfry około 785 sztuk, pozostały znikome niedobitki, ścigane zaciekle przez rozpanoszone kłusownictwo. Reszta znalazła się w kotlach żołnierskich wojsk niemieckich, lub ozdabia do dziś dnia gabinety różnych dymisjonowanych dowódców niemieckich. Ale i te niedobitki miały zniknąć. W kwietniu 1919, jak to opisał prostemi, żołnierskiemi słowami inż. H. Knothe, pada ostatni żubr od skrytobójczego karabinu kłusowniczego.

Nie lepiej działo się na drugiej rubieży Rzeczypospolitej w lasach księcia Pszczyńskiego, stanowiących drugi, poważny, a tem cenniejszy, że czystej krwi białowieskiej, polski ośrodek żubra. Jak wiadomo, żubry wprowadził książę pszczyński jeszcze w r. 1865, otrzymawszy wtedy w darze od cara 4 żubry białowieskie (3 krowy i 1 byka). Po krótkotrwałych niepowodzeniach, dzięki doskonałym warunkom bytu i troskliwej opiece ze strony administracji książęcej, pszczyńska hodowla zaczęła się znakomicie rozwijać. Dość powiedzieć, że przy słabem rozmnażaniu się żubra wogóle i stosunkowo znacznym corocznym odstrzale, stan żubrów w r. 1918, przy samym końcu wojny światowej, doszedł do 74 sztuk (19 byków i 55 krów). Tymczasem nadszedł i tutaj moment zamieszek i niepokojów: pierwszy znak ataku na żubry pszczyńskie daje Komisja Żywnościowa, polecając odstrzelić pewną ilość żubrów dla wyżywienia ludności (!), reszty dokonywa bezkarnie szalejące kłusownictwo. Ilość żubrów topnieje z miesiąca na miesiąc, tak, że w grudniu 1922, wynosi ona zaledwie 3 żubry, w czem zaledwie jedna, blisko 20-letnia krowa.

W takim stanie rzeczy przystąpiono w 1922 r. do prób odrodzenia żubra w Polsce. Szczęśliwy zbieg okoliczności z jednej, wytrwałość szeregu osób prywatnych i założonego w międzyczasie w Poznaniu Polskiego Oddziału Międzynarodowego Tow. Ochrony Żubra z drugiej, wreszcie, konsekwentna, kilkuletnia praca naszego Ministerstwa Rolnictwa sprawiły, że zagadnienie odrodzenia żubra nie tylko nie przestało być aktualnem, lecz jak zobaczymy, istnieje uzasadniona nadzieja dalszego jego pomyślnego rozwoju.

Tym szczęśliwym zbiegiem okoliczności, był fakt niezwykłej płodności jedynej krowy, ocalałej w stadzie pszczyńskiem, sędziwej „Planty“, która z bykiem Plebejerem, dała jeszcze trzy cielęta w najbliższych latach, nim odstrzelona w 1931 r., stała się ozdobą Śląskiego Muzeum Przyrodniczego. Z cieląt tych, krowa „Plaketta“ zadecydowała o dalszych losach, rzucając dwie cieliczki „Platanę“ w 1928 i „Plastykę“ w 1929. Mimo odstrzelenia w r. 1931 dwóch sztuk, stan żubrów pszczyńskich osiągnął liczbę 9 sztuk, na co się składają 3 krowy i 2 cieliczki oraz 2 młode byczki zwykłej krwi białowieskiej. Nie ulega wątpliwości, że obok niezwykłej jak u żubrów płodności babki tego rodu „Planty“, odegrały tu dużą rolę znakomite warunki, stworzone przez administrację książęcą, oraz sam obszar lasów (około 10.000 ha w jednym kompleksie.

Drugą próbę odtworzenia żubra na ziemiach polskich, przeprowadził Poznański Ogród Zoologiczny z ramienia Poznańskiego Oddziału Międzynar. Tow. Ochrony Żubra, sprowadzając dwie sztuki: byka „Hagena“, pochodzącego od kaukaskiego byka i białowieskiej krowy oraz czystej krwi białowieskiej, krowę „Gatczynę“. — Próba ta, prowadzona w wysoce nieodpowiednich warunkach ogrodu zoologicznego, nie dała pozytywnych wyników, gdyż cielęta padły, a obie sztuki z powodu podeszłego wieku i małego doświadczenia, jakiego jeszcze w r. 1923 podczas przeprowadzania tych prób nie posiadano w dostatecznym stopniu, już później potomstwa nie dały. — Niemniej, jak słusznie zaznacza Prof. Grochmalicki, próba ta miała znaczenie o tyle, że wpłynęła na nasze Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych w kierunku rozpoczęcia doświadczeń z hodowlą żubra we właściwem środowisku, t. j. w Białowieży. Jak wiadomo, w r. 1929 wydzieliło Ministerstwo w nadleśnictwie zwierzynieckiem obszar 22 ha, w którym umieszczono pierwsze żubry w ilości 2 sztuk czystej krwi — byka „Borussa“ i krowy „Biskayi“ — oraz 5 sztuk żubrów mieszańców z mniejszą lub większą domieszką krwi bizona. Z czasem usunięto męski element mieszańców, tak że w 1930 r., oprócz żubrów czystej krwi — byków „Hagena“ i Borussa“ i krowy „Biskayi“, znajdowały się tylko krowy półkrwi — „Swea“, „Faworyta“ i „Stolce“, pokrywane bykiem czystej krwi (z domieszką krwi kaukaskiej) „Borussem“. Już wnet po przewiezieniu zwierząt do Białowieży, widać było po wyglądzie, jak pomyślnie zareagowały na powrót do ojczystej puszczy, mimo że przedstawiała się ona w postaci ogrodzonego zwierzyńca, który dopiero w z. r. powiększono do 57 ha obszaru, wykorzystując doświadczenia, jakie dała kilkuletnia praktyka. Dalszem potwierdzeniem jest przychówek, uzyskany w ciągu ostatnich lat. W r. 1932 pogłowie żubrów białowieskich składało się z 11 sztuk, w czem 5 sztuk było czystej krwi, a 6 mieszańców żubra z bizonem. Żubry czystej krwi składają się ze wspomnianej już krowy „Biskayi“ i jej córek „Biruty“ i 1½ rocznej „Birmy“, z ojca ich 5-cio letniego stadnika „Borussa“ oraz pochodzącego z poznańskiego ogrodu zoologicznego 21-letniego byka „Hagena“. Na żubrobizony składały się w r. 1932 dwie krowy „Sweja“ „Stolce“ i „Faworyta“ oraz ich potomstwo, złożone z dwóch jałówek i byczka. Pozatem znajdują się jeszcze w Pol-

sce trzy sztuki byków żubrobizonów umieszczonych w ogrodach zoologicznych w Warszawie i Poznaniu, w myśl regulaminu M. Tow. Ochrony Żubra, celem eliminowania od dalszego rozpłodu mieszańców.

Takby się w zarysie przedstawiał nasz dziesięcioletni dorobek w dziedzinie odrodzenia żubra na ziemiach polskich. Należy go bezsprzecznie — szczególnie jeśli się go porówna ze stanem początkowym z r. 1922 — uważać za korzystny: ze znikomej ilości 3 żubrów, stan ilościowy podniósł się na 14 sztuk żubrów czystej krwi. — Niewątpliwie największą zasługę poniosły tutaj tak Administracja Ks. Pszczyńskiego, jak i nasze Ministerstwo Rolnictwa, które niezrażone początkowemi trudnościami i niepowodzeniami, potrafiło je przezwyciężyć, tak, że istnieje uzasadniona nadzieja, że może kiedyś już w najbliższem dziesięcioleciu, żubr w Białowieży wyjdzie poza chwilowe dlań ciasne ogrodzenie zwierzyńca, na wolność do puszczy.

Słusznie jednak podnosi prof. G r o c h m a l i c k i, którego wywody w głównej części tu streszczamy, że dalszemu rozwojowi żubra stać może na przeszkodzie już dziś grożąca wsobność tego chowu, może w mniejszym stopniu w Pszczynie, niż przedewszystkiem w Białowieży. Niewątpliwie kompetentne czynniki zwrócą na to uwagę i w ten sposób (przez nabycie drugiego stadnika dla Białowieży) zaradzą ewentualnym ujemnym skutkom chowu krewniaczego i przez to kwestję dalszego odradzania się żubra w Polsce zwrócą na właściwe tory.

JANUSZ DOMANIEWSKI

Uwaga na bociany!

Wiemy o tem dobrze, że bociany lecą na zimę do Afryki. Lecą one tam dwiema drogami, zależnie od tego czy miejsca ich gniazdowania leżą na wschód, czy zachód od rzeki Wezery. Mianowicie bociany, gniazdujące na wschód od Wezery, lecą tak zwaną drogą południowo-wschodnią. Z północnej, środkowej i wschodniej Europy prowadzi ona przez Węgry, półwysep Bałkański i Azję mniejszą do Afryki. Zaś bociany gnieżdżące się na zachód od Wezery, lecą drogą południowo-zachodnią, która prowadzi przez Francję, Hiszpanję i północno-zachodnią Afrykę. Te dwie drogi spotykają się następnie w Afryce południowej.

W jaki sposób bociany odnajdują drogę w czasie swych dalekich wędrówek? Czy prowadzą stare ptaki, które już uprzednio odbyły wielokrotnie tą wędrówkę, czy też wszystkie ptaki, zarówno stare, jak i młode kierują się w czasie podróży poprostu instynktem? Zagadnienie to chce rozstrzygnąć Stacja Ornitologiczna w Rossitten przy pomocy eksperymentu.

Oto Stacja w Rossitten jest obecnie w posiadaniu 92 bocianów, wybranych z gniazd za młodu. Trzymane w niewoli są one już zupełnie wyrosłe i zdolne do odlotu. 12 września, gdy wszystkie stare bociany już odlecą, zostaną wypuszczone na swobodę bociany z Rossitten. Niezależnie od tego przewieziono z Prus Wschodnich do Essen nad Renem (a więc do części Europy, leżącej na zachód od Wezery) 155 takich samych młodych bocianów. Będą one wypuszczone na swobodę również 12 września. Naturalnie wszystkie te bociany zostaną zaobrączkowane, prócz tego zaś na spodzie ciała będą poznaczone jaskrawą barwą. Po tych barwnych plamach będzie je można rozpoznać nawet wysoko w locie.

Szczególniej ciekawem będzie wyjaśnienie, jaką drogą polecą bociany, wypuszczone w Essen? Czy tą, którą lecą bociany zachodnio-europejskie, czy też tą, którą leciałyby, gdyby je pozostawiono w spokoju w kraju rodzinnym?

By otrzymać odpowiedź na to pytanie, koniecznem jest zebranie jak najliczniejszych informacyj. Jeśli więc ktoś zaobserwuje te malowane bociany, winien możliwie najprędzej zawiadomić o tem Stację Badania Wędrówek Ptaków (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26/28). W liście należy naturalnie podać datę obserwacji, oraz miejsce (również nazwę gminy i powiatu) w którem bociany były obserwowane. Bardzo ważnem jest zaobserwowanie kierunku lotu. Prócz tego pożądanem jest, by począwszy od 12 września, myśliwi strzelali każdego zauważonego bociana. Zdjęte z nóg obrączki, należy przesyłać pod wyżej wskazanym adresem. Stacja polska, przekaże otrzymane wiadomości stacji w Rossitten.

TADEUSZ PLATER-ZYBERK

Na łowach w puszczy Horodzieckiej

Szczyt moich marzeń myśliwskich się wreszcie ziścił, udało mi się skorzystać z zaproszenia kuzyna mego hr. Jana Plater-Zyberka i zapolować w jego wspaniałej kniei Horodzieckiej na wilki i rysie.

Wieluż to myśliwych kresowych, polując życie całe w północnych kniejach naszych, gdzie ryś gnieździ się i żyje, marzy wciąż jeszcze o spotkaniu z tym wspaniałym zwierzem; — trudno więc było mieć nadzieję, bym mógł na pierwszem mojem zimowem polowaniu w Wileńszczyźnie ubić rysia i modliłem się jeno gorąco do Św. Huberta, by choć z daleka ujrzeć to wspaniałe zwierzę i nacieszyć się jego widokiem.

Z jakąż emocją odebrałem lakoniczną depeszę: „Wilki są, na odstrzał rysia wyrobiłem zezwolenie. — Jan.„ — Nie wiele myśląc, nie zastanawiając się nad kłopotami gospodarczemi i obowiązkami domowemi, wyruszamy z kuzynem moim Wiktorem, by po 24 godzinach podróży dojechać via Lida - Królewszczyzna do stacji Głębokie, skąd saniami w mig wprost przebywszy 30 km, znaleźliśmy się w Horodźcu. Nie było czasu na żadne wypoczynki, gdyż stary leśnik Jeremiej, specjalista od wilków, już czekał z meldunkiem, więc spożywszy tylko sute śniadanie, wyciągnąwszy broń z futerałów, posunęliśmy saniami w knieję.

Z prawdziwym zachwytem obserwowałem po raz pierwszy ten dziki, prawdziwie dziewiczy las, zasypany śniegiem. Sanie nasze sunęły po przez gąszcze świerkowe, pokryte grubą okiścią, poprzez gęste drągowiny olchy i osiki, przesuwały się z trudem między gęsto leżącemi powałami i pniami. Zachwyt mój został na chwilę jedną tylko przerwany, gdy znalazłem się twarzą w śnie-

gu, przywalony dość ciężką osobą mego kuzyna Wiktora. Sanie leżały do góry płozami, a furman stary soczyście przeklinał po białorusku nieszczęsny pień olchy prastarej, który tak dzielnie bronił intruzom wejścia do puszczy. Władowaliśmy się z powrotem na sanie i mocno rozweseleni naszą przygodą, wysypując sobie nawzajem śnieg z za kołnierzy, ruszyliśmy dalej. Dojechaliśmy wreszcie do miejsca, skąd miała ruszyć obława i linją wzdłuż ofladrowanego już miotu, posunęliśmy na stanowiska. Kochany gospodarz postawił mnie za olchą o 40 m od końca fladr, na znanym mu bardzo przesmyku wilczym. Zostałem sam na stanowisku. Przedemną i zamną gęsty bardzo młodniak olchowy. Widok na strzał nie dalszy niż 30 metrów — dalej nic nie widać.

Ogromny krzyk i strzały w powietrze obwieściły mi, że obława rusza. Odbezpieczywszy dubeltówkę, w największem napięciu nerwowem zacząłem wpatrywać się w las, wzdychając w myśli do Św. Huberta, by wilka mi przyprowadził.

Z daleka dochodziła mnie wrzawa naganki, przedemną cichy gąszcz olchowy nieporuszany żadnym wietrzykiem. Zaczął padać śnieg i duże jego mokre płaty wirowały z wolna w powietrzu. Miarowo i równo obracając głowę, przeglądałem wszystkie luki w gąszczu na prawo i lewo, imaginacja moja wciąż stwarzała w nich wilka. Wtem, spojrzawszy na linję w prawo, w odległości jakichś 200 metrów dojrzałem go; wyskoczył na linję i zgrabnym ruchem przywarował przed fladrami. Cały zadrżałem: jak błysk myśl przeleciała mi przez głowę: „skoczy w fladry, czy w miot wróci?" Wrócił — obrócil się błyskawicznie i znikł w tumanach coraz gęściej padającego śniegu.

Z największą emocją zacząłem się wpatrywać w gąszcz przed sobą, oczekując idącego wzdłuż fladr zwierza. — Nie minęło wiele sekund, gdy rudawo-siwa plama zaczęła mi migać po przez pnie młodych olch. Szedł stępa na kulawy sztych na mnie, jakby czając się. Obawiałem się ruszyć, stojąc bowiem sam za cienką olchą, czułem, że podniesienie dubeltówki może spłoszyć zwierza, który mimo bliskiej odległości, jednym skokiem mógł mi w gąszczu zginąć. — Głośny pokrzyk naganiaczy wyratował mnie z opresji. Wilczura przestraszony krzykami, zrobił pół obrotu w tył — ta sekunda starczyła, by wziąć go na muszkę. Stał w takim gąszczu, tyle wiotkich gałązek go zasłaniało, że nie ryzykowałem jeszcze strzału. Naganka przycichła i wilk poruszył się, sunąc ku mnie i linji. Zacisnąłem silnie szczęki, by opanować nerwy i czekałem. Wolno łeb wilczy nasunął się na linję muszki, potem szyja, wreszcie prawa łopatka, której grę wyraźnie widziałem pod kudłatą skórą. Teraz chwila odpowiednia — pociągnąłem za cyngiel i zwierz jak piorunem rażony runął na ziemię.

Nasz tydzień łowiecki na kresach zaczął się pod szczęśliwym znakiem, w pierwszym dniu, natychmiast po przyjeździe, ubiłem pierwszego w mem życiu wilka, a pogoda zapowiadała się ślicznie, puszysty śnieg i mróz mały do — 10°. Niestety jednak, zaraz następnego ranka przekonaliśmy się, że nie można robić z góry dobrych przepowiedni. Od 5-tej rano zaczął walić śnieg i padał cztery godziny. Zasypał on wszystkie ślady i nadziei na wilki dnia tego już mieć nie mogliśmy. Następnych dni to samo — tak jak gdyby jakiś biały duch opiekuńczy mieszkańców tych dzikich uroczysk, śnieg — przyprószył grubą powłoką wszelkiego zwierza ślady. Stary Jeremiej (prototyp Rasputina), rwał z wściekłości włosy z imponującej swej brody — cały jego kunszt tropiciela na nic — nic nie poradzi — a tu „grafy" za dni kilka odjeżdżać muszą.

My tymczasem, co dzień od wczesnego ranka jeździliśmy po puszczy, rozkoszując się nią. Wreszcie dnia



trzeciego rano, oknem, dostrzegliśmy saneczki Jeremieja. Dobry znak. Miał, jak się okazało, nie zupełnie pewnego wilka. Ślad jego wejściowy do miotu trochę byl przyprószony śniegiem, ale wyjściowego nigdzie nie było. Postanowiliśmy zaryzykować. Mój kuzyn Wiktor objął komendę, w zastępstwie zajętego interesami pana domu. Ruszamy w puszczę, p. Mohl, dyr. Pawlikowski, Wiktor i ja. Po przebyciu kilkunastu kilometrów, dojeżdżamy do dużego kwartału młodniaków, gdzie ów wilk ma leżeć. Boki miotu już ofladrowane i Wiktor nas rozstawia na długiej łące, w przesmykach leśnych. Wygląda wszystko świetnie — oby tylko wilk był w miocie — jeśli jest, musi na któregoś z nas natrafić, omijając gołą łąkę, a przedzierając się gąszczami w których stoimy. Staję w takim przesmyku, dość szerokim, na 60 metrów od brzegu łąki. Zaczynam już „meblować się" na mojem stanowisku, nabijam sztucer i dubeltówkę, rozstawiam mój stołek myśliwski, rozglądam się i wybieram luki w krzakach do ewentualnego strzału. Tymczasem Wiktor powraca i przesuwa mnie na sam koniec gąszczu, o 60 m w lewo. Przenoszę się na moje nowe stanowisko, klnąc w duszy, mimo, że znam jak najlepsze intencje kochanego wice-gospodarza; pierwsze miej-

sce, na którem stałem, wydaje mi się lepsze. Niema jednak czasu do rozmyślań, obława ma zaraz ruszyć.

Czas cudny, po rannej śnieżycy pozostała duża okiść na drzewach, a słońce stwarza na każdej gałązce miljony najcudowniejszych brylantów. Lekki wietrzyk powiewa, szemrząc gałęziami i resztkami suchych liści, zrzucając od czasu do czasu okiść, która, z tajemniczym szmerem usuwa się na ziemię. Na prawo odemnie młodnik olchowy, poprzetykany młodemi świerkami — widzę dość daleko. Na lewo zwężająca się szyja łąki, i do niej przytykający gąszcz świerkowy, w którym, prawie, że nic nie widać! Postanawiam odrazu bacznie tę stronę pilnować, gdyż jedynie tu mógłbym zwierza dopatrzyć. Obława już idzie, stoję od dobrej chwili, ruszając miarowo głową na prawo i lewo, jak nakręcona mechaniczna lalka. Myśl o rysiu, tym najpotężniejszym mieszkańcu Horodzieckiej puszczy, prześladuje mnie i teraz. Przypomina mi się nasze wczorajsze polowanie na bielaki i ów ogromny ryś, który wyszedł prosto na konie. Potem tropienie i zajeżdżanie — niestety bezowocne po puszczy, i trop jego tak podobny do wilczego. Przygnaliśmy go właśnie w te oto rewiry, gdzie pod osłoną nocy nam uszedł. Może to on właśnie pozostawił te, przyprószone śniegiem ślady? Stoję i czekam. Naganka bardzo się już zbliżyła, wilka zapewne nie będzie. Zaczyna mnie już ogarniać silne zwątpienie, słyszę coraz bliżej zgiełk obławników, którzy muszą już być zaledwie o 200 m od linji myśliwych oddaleni.

Wtem, w gąszczu świerkowym, na lewo odemnie, szara plama gdzieś mignęła, kierując się w stronę łąki. — Podnoszę strzelbę, oczekując wyskakującego wilka i o cudo! — Z pod zawalonych okiścią gałęzi świerkowych, wychyla się ogromny łeb wymarzonego przezemnie rysia. Niema czasu na emocję — strzelam. Ryś bez szelestu obsuwa się i cały ginie w puszystym śniegu, a ja jak osika, za którą stoję, zaczynam się trząść ze wzruszenia. Trudno mi wystać na stanowisku, tak pilno zobaczyć i nacieszyć się pięknym zwierzem. Posuwam się 30 m po linji w lewo, i słysząc już zupełnie blisko obławników, rzucam się na mój łup i z największą radością wynoszę rysia na drogę. Jest to wspaniały kot, jeden metr i 10 cm długi, 65 cm wysoki, o pięknem futrze, jasnem bardzo i wyraźnie na bokach centkowanem. Radość moja nie ma granic, rzucam się na szyję Wiktora i ściskam starego Jeremieja, który wydając radosne i dzikie okrzyki, smaruje mnie dokładnie farbą ubitego rysia.

Wieczorem stypa, jakiej chyba żaden lew jeszcze nie miał. Niestety, pamiętam tylko jej początek, zresztą arcywesoły — a nazajutrz po moim bólu głowy, z min biesiadników i baterji pustych butelek, mogłem łacno osądzić, że śmierć króla puszcz, została godnie ufetowana.

Wszystko jednak ma swój kres, na tym „łez padole". Dwa dni później, z żalem, obydwaj z Wiktorem opuściliśmy Horodziec, marząc, że jeszcze, kiedyś, dane nam będzie w tej puszczy polować.

Do artykułu „Lisowice"

Nr. 15—16 „Łowca" 1933 r.

Przez przeoczenie drukarni, opuszczoną została data ubicia niedźwiedzia w Lisowicach, przez Józefa Jabłonowskiego. Stało się to w dniu 15 października 1926 r.

Korzystając ze sposobności, muszę zaapelować do młodych polskich łowców, szukających subtelniejszych myśliwskich wrażeń, których nęci strzał do grubego zwierza i urok wspaniałej kniei, by się Lisowicami, tą przodującą w Polsce placówką łowiecką bliżej zainteresować chcieli. O ile mi wiadomo, jest obecnie kilka członkowskich miejsc wolnych, niech więc je wykorzystają.

Warta zachodu i trudów knieja, w której bywają ważkie spotkania myśliwskie, jak dublety do rysia i dzika, lub jelenia i odyńca, gdzie padało po kilka wilków i żbików w jednym dniu — do której zagląda od czasu do czasu niedźwiedź, w której wreszcie coraz to obficiej ryczy jesienią, król naszych gór, karpacki rogal.

Zastaniecie tam młodzi myśliwi, nietylko wielkie tradycje i wysoką etykę łowiecką, ale też i przemiły nastrój, jaki daje dobrze dobrany zespół towarzyszy.

A. M.

Inż. ST. R. R.

25-lecie mego „Wincia" 22

W ciepłe i słoneczne popołudnie czerwca 1908 roku, było w Krakowie na ulicy Sławkowskiej cicho i spokojnie. — Tylko co chwila od strony plant, wbiegała mała w mundurek ubrana postać studenta i przystawała przed wystawą sklepu z bronią p. Józefa Spichala, chciwie chłonąc widok strzelb, sztucerków i tych wszystkich marzeń chłopca, który pewny dobrego świadectwa — już czuje zapach pól i lasu, do których niedługo na wakacje wyjedzie — oby z czemś takiem, co tutaj widzi!

Tym razem student szedł w towarzystwie starszego, jak gołąb siwego pana i z wielkiej emocji co chwila podskakiwał, chociaż bardzo chciał okazać powagę — szli bowiem po sztucerek! — Kto coś takiego przechodził, przyzna, że studencik ten nie był w stanie zapanować nad sobą, bo wiedział, że tam w sklepie, w szafie z lewej strony koło lady, stoi: ON, sztucerek automatyczny, marzenie i temat snów nieustannych! — A może Dziaduś, który niezbyt na wszystkie automaty i lunety dobrze patrzał, nie zechce na to pozwolić? A może sztucerek okaże się za drogi? W myśli przechodził studencik wszystkie swoje grzechy, ale dobre świadectwo w kieszeni i takie samo zachowanie, nie dawały podstaw do obaw.

W sklepie starszy pan przywitał się z p. Józefem Splichalem i zostawiając na boku studencika, zaczął coś szeptać. — Biedny student był mocno blady i już nie wiedział, co się z nim dzieje — ale tymczasem, ku nieopisanej radości, obaj panowie zbliżyli się do tej lewej szafy i w ręce starszego pana znalazł się „ON". — Na pewno mały student miał wobec tego egzaminu najwyższej władzy z jego „marzeniem" większą trwogę, niż przed najgorszem pytaniem jego własnego profesora od historji; — co też Dziaduś na „niego" powie?!

„No złóż się, wagę ma dobrą, wygląda wcale poważnie" — padły słowa i już miałem go w ręku. — Nie po-

trafię opisać, co się ze mną działo, cel mych marzeń i owoc niesłychanie zawiłych dociekań po katalogach wszystkich niemal języków miałem w ręce, uczucie jakiego doznawalem, trzymając ten słodki ciężar, przewyższało — nawet marzenia. — „Dziadusiu — ten albo żaden, powiedziałem — to mój wyśniony Wincio!"

Krótka była debata nad kupnem, już tylko niejako z obowiązku dawano mi do ręki inne sztucerki, ale chyba na to, abym tem więcej cenił mego Wincia, z którego raz po razu składałem się, mierząc do pierników i woskowych świec, widniejących na wystawie sklepu po drugiej stronie ulicy naprzeciw.

Niestety musiałem go w sklepie zostawić, bo amerykańska mucha i wizjer, raczej bramę Florjańską i wieżę przypominały — i to musiało się zmienić na europejską modę. — Już jednak na drugi dzień, miałem mego Wincia w rękach na zawsze i odtąd zaczęły się dni pełne radości, sukcesów i niebylejakich wyczynów.

Dzisiaj po 25 latach, mój Wincio wygląda jak dawniej, dostał tylko nowe łoże dłuższe — i lunetkę, tą ostatnią w 18 roku posiadania i ku memu zdziwieniu trzymał i trzyma kule jeszcze tak, że niejeden tarczowy sztucerek mógłby się z nim zamienić. — Ze sztucerka tego strzeliłem wedle posiadanych zapisków około 35.000 razy i śmiało powiedzieć mogę, nie miałem zawodu.

Miałem naturalnie tu i ówdzie niespodzianki — ale były to tylko błędy spowodowane własną nieumiejętnością. — I tak naprzykład strzelając do królików kulkami pełnemi, miałem rezultaty gorsze niż z innych sztucerków kaliber 22, dzięki temu, że ciężka i pełna kula Wincia, miała ołów bardzo ciągliwy, a przechodząc królika na wylot, nie ekspandowała. — Dopiero kulki z expanzą a w szczególności naboje Sellier & Bellot, jakie udało mi się przez Szajlera we Wiedniu wyszukać, złemu zaradziły. — Były to naboje znacznie od oryginalnych silniejsze, miały doskonałą expanzę i kruchy ołów na kulkach — a nieznaczne zacinanie się mechanizmu, dochodzące do 5%, umiałem sobie usunąć przez ręczne obrobienie źle osadzonych w łusce kulek i ich nadmiernej długości. — Temi to nabojami od lat 20 strzelam wyłącznie, mając ich znaczny zapas.

W czasie gdy byłem chłopcem, sztucerek ten stanowił dosyć poważny krok naprzód w dziedzinie małokalibrowej broni, nie było jeszcze takiego Efeba kulkowego jak 5,2 lub Savage 22 — więc nic dziwnego, że na horyzoncie mego zachwytu nad mym Winciem chmur żadnych nie było. — A gdy dodam, że strzelałem z niego naprawdę doskonale — nic dziwnego, że cudów dokonywałem. Mam z niego septeta i 3 kwadruplety do biegnących króli, sporo kaczek i bażantów w locie i wiele, wiele innych sukcesów, nie licząc strzałów „na matematykę" do rogaczy, a nawet kilku łań podczas odstrzeliwania, które padały nie gorzej jak ze Schönauera. — Nieszło mi tylko jakoś do zajęcy w biegu. Brałem mego Wincia na polne polowania zajęcze i chociaż zające i teraz padały, jednak trzeba było albo dublować, albo szukać postrzałków mimo, że strzelałem kulkami expansywnemi. — Niepowodzenia te stały w prostym stosunku do odległości, gdym strzelał do zająca na 30 do 40 kroków, to padało mi wszystko dobrze, ale gdy trzeba było posłać kulkę na 70 do 80 kroków, to albo trzeba było się najpierw nieco „wstrzelać" pierwszemi kulkami, aby znaleźć odpowiednie zakładanie, albo zając z kulką po zadzie szedł światami. — Toteż z niemałym strachem wziąłem Wincia pierwszy raz na toki cietrzewie. — Nie wiem, czy staranne mierzenie, czy mniejsza odległość, dosyć, że zawodu nie miałem, koguty padały jak rozciągnięte i nie miałem wypadku, aby mi jaki zerwał i zestrzelany poleciał, przepadając. — Natomiast gorzej już szło mi do bażantów, jakie w marcu i lutym dla regulacji płci masowo się odstrzeliwało. — Może zawody tutaj miały jako powód, że do bażantów strzelało się na podchodnem koło remiz, a zatem w warunkach gorszych; trzeba było strzelać szybko, nieraz w momencie zrywania się, dosyć, że wiele kogutów z doskonałemi kulkami leciało jeszcze kawałek, zanim padło. — Poradziłem sobie na to w ten sposób, że kulki na czole obcinałem tak, że kulka miała około 5 mm² płaskiej powierzchni. Teraz koguty padały w miejscu — ale Wincio takiemi nabojami znowu repetować za nic nie chciał! Miałem wprawdzie pierwszy strzał pewny, ale musiałem rezygnować z dubletów — albo ryzykować drugą normalną kulkę. — Kulki te poobcinane wypróbowałem też na zającach; wyniki były i tutaj lepsze, ale nie do wyzyskania, bo Wincio zupełnie takiemi kulkami repetować nie chciał.

Wiele uciechy miałem z mym Winciem na stawach. Cichy ten strzał nic nie płoszył i można było używać jak w raju Mahometa na łyskach, nurkach, no i kaczkach. Tutaj powstała myśl dania Winciowi lunetki, bowiem trafienie perkoza, gdy mu z wody tylko cieńka jak palec szyja wystawała — nie było rzeczą łatwą. Dałem Winciowi zatem lunetkę Voigländera Skoparetkę 2,5 x. — Dziwnie się zawiodłem — bo naraz zacząłem chybiać, górując lub dołując bardzo. — Gdym odległość ocenił dobrze i na lunetce krzyżem nastawił — wszystko było dobrze, ale gdym się pomylił o jakich 30 kroków, już trafić nie mogłem. — Wielki ten stosunkowo opad kulki przy strzałach przez wizjer, anulował się niejako z błędami optycznemi samego mierzenia, bo dalsze przedmioty przykrywane muszką zmuszały niejako do brania mimowoli wyżej, podczas gdy przez lunetkę każdy błąd dawał się odczuć. — Musiałem oceniać odległość w granicy 30 kroków, co na wodzie bez żadnego oparcia nie było rzeczą łatwą — toteż wiele set kulek wypuściłem na darmo, zanim doszedłem do takiej wprawy, że odległości oceniałem trafnie i na lunetce poznaczyłem odległości co 30 kroków. — Jeszcze większy zawód miałem z lunetką przy strzałach do zajęcy w biegu. — Odległość można było tutaj daleko łatwiej ocenić, toteż opad kulki nie grał wielkiej roli — zato okazało się, że do zajęcy biegnących na poleć na odległość 60 do 70 kroków już trzeba było zakładać więcej, aniżeli pole widzenia lunetki dozwalało!! — Musiałem dać spokój z tem strzelaniem i używałem lunetki z doskonałym zresztą rezultatem przy strzałach do celów stojących. — Koty, psy, wrony, padały jak muchy, swoją drogą, jak wspominam, strzelałem z mego jubilata doskonale i strzałów po zadzie lub łapach nie było. — Raz jadąc do przyjaciela z kolei, spotkałem wielkiego kundysa na polach, zanim zdążyłem Wincia z kasety wypakować, kundys już był spory kawałek; strzeliłem za nim nie zdejmując podróżnych wilków, pies zaznaczył i poszedł. — Dopiero na

drugi dzień, znalazłem go już nieżywego, o blisko kilometr od miejsca, z kulą na miękkie — kulka jednak przeszła go na wylot, dając sporo farby.

Na dłuższy czas kochany mój i wierny Wincio znalazł się w mej zbrojowni, gdy doszedłem do sztucerka 5,2. — Już wówczas we wszystkie arkany balistyki wgryzłem się, toteż wiedziałem, jaką szaloną przewagę nad wszystkiemi małokalibrowemi sztucerkami ma 5,2 — nie będąc sztucerem, za jaki uważam Savage 22 — był szczytem precyzji w najmniejszym kalibrze. — Gdy czasem strzeliłem do wrony lub łyski z Wincia, wydawało mi się, że strzelałem z wiatrówki, tak kulka ta wolno leciała. — Nadszedł znowu okres entuzjazmu nad 5,2, trwający długo, bo aż do czasu kryzysu, zmuszony drożyzną naboi do 5,2, z konieczności brałem co raz częściej starego Wincia, do którego naboi miałem bardzo wiele i teraz po 25 latach znowu stary kochany Wincio, jak za dawnych młodych lat, stanowi cel marzeń mego syna. Ja stary z rozrzewnieniem patrzę na tę kochaną lufę, na to łoże z amerykańskiego orzecha nie piękne, ale tak kochane, na ten mechanizm tak prosty a tak niesłychanie wytrzymały, bo chociaż przez 25 lat Wincio ani razu nie zaznał co to rdza, mimo to, wykazał swoją obecnie jeszcze bez zmiany pozostałą precyzję w trzymaniu kulki, oraz nieuszkodzeniem najmniejszego szczegółu mechanizmu, że jest to sztucerek pod każdym względem doskonały, o wiele lepszy od wszystkich jemu podobnych. Przetrzymał w każdym razie i Browning 22, który od paru latach wystrzelał się zupełnie i Bayarda, który wogóle równać się z nim nie mógł i Martiniego 22, któremu po paru tysiącach strzałów gwinty się ołowiem zapchały, że kule przewracał.

Tych kilka ciepłych słów, poświęcam memu kochanemu Winciowi, jubilatowi 25-cio letniemu. — Może ktoś z młodych adeptów z pod sztandaru św. Huberta szuka na wakacje sztucerka, którýby zadowolić mógł marzenia studenckie — niechaj z zaufaniem weźmie Wincia automat 22, nie zawiedzie się tak jak ja, a dbając o swego pupila, przeżyje z nim i w polu i w lesie i na stawach niejedną radosną godzinę. — Ja śmiało powiedzieć mogę, że stary mój kochany Wincio stanowi w mej kolekcji broni bodajże najcenniejszą rzecz, bo wiążą się z nim moje najczystsze radości jasnej młodości, niezbrukanej ludzką zawiścią i kryzysowemi kłopotami



Władysław Prus z Wróćmirowy

Biesiadecki

zmarł nagle w dniu 19 sierpnia 1933 r. we Lwowie, w wieku 65 lat.

Zmarły był długoletnim członkiem M. T. Ł., a swego czasu, przed wojną, jego delegatem w powiecie jasielskim, a następnie tłumackim.

Prawy myśliwy, brał żywy udział w życiu łowieckiem, a zaletami usposobienia i charakteru, jednał sobie serca kolegów.

Cześć pamięci zacnego Towarzysza i Myśliwego.

Korespondencje

Sprawozdanie łowieckie z powiatu Chrzanów.

W czasie od 1 lutego 1932 do 31 stycznia 1933, ubito na terenie tutejszego powiatu ogółem 9.553 sztuk zarówno zwierzyny łownej jak i szkodników, a to: rogaczy 4, zajęcy 1709, królików 231, lisów 36, bażantów 162, kuropatw 3.362, przepiórek 33, cietrzewi 70, słonek 15, kaczek 100, kszyków 40, innych błotnych ptaków 10, psów 529, kotów 907, tchórzy 2, łasic 208, kun 2, wron, srok, jastrzębi 2.133.

W porównaniu z rokiem ubiegłym okazuje się, że ilość ubitej zwierzyny łownej pozostała prawie bez zmian, większe odchylenie wykazały tylko zające, których w ostatnim roku na skutek mokrej i zimnej wiosny było mniej. Natomiast duży spadek wykazuje ilość ubitych szkodników; mam wrażenie, że przyczyną tego jest mniejsze pilnowanie terenów łowieckich, zwłaszcza dzierżawionych, na skutek kryzysu i oszczędzania naboi, ciągle jeszcze bardzo drogich.

Rok bieżący zapowiada się dobrze. Kuropatw bardzo dużo pozostało z ubiegłego roku i wiosna dla rozmnoży była dobra, również dobrze powodzi się cietrzewiom i bażantom w nielicznych ich w tutejszym powiecie ostojach. Zajęcy powinno być w tym roku więcej, również i królików. Stan sarn również wydaje się poprawiać; z zezwolenia na odstrzał kóz poza jednym majątkiem, który i tak co roku prosi o odstrzał kóz — nigdzie nie korzystano.

Antoni Starzeński, Delegat M. T. Ł.



Rogacz zabity 3 czerwca 1933, przez Ks. Stefana Jerzego Lubomirskiego w lasach majętności Aleksandrja pod Równem-Wołyńskiem (właściciel Ks. Hubert Lubomirski). — Wysokość 24,5, oraz 23 cm. (Obwód obydwu róż 22 cm).

Kołomyja, 10 lipca 1933.

I znowu jeden z najgroźniejszych żywiołów przewalił z hukiem i niepowstrzymaną siłą impetu przez Pokucie i biedną, acz przebogatą w cudy natury Huculszczyznę, siejąc popłoch i strach wśród zwierzyny łownej i ptactwa, gnieżdżącego się po ziemi i wodzie.

Rozhulał się Prut wraz z dopływami Łuczki, Pistynki i Sopówki, rozbałamucił się i rozwścieczył Czeremosz Biały i Czarny, wraz z Bystrzycą Czarną, Złotą, Nadwórniańską i Sołotwińską. — Rozlała się Worona, niby istne morze zalewając zboża, sianokosy i te

niezliczone setki gniazd i jaj, naszych skrzydlatych sprzymierzeńców, niszcząc całą nadzieję i pracę mozolną w zbudowaniu schronisk-gniazd pod przyszłe pisklęta i kadry śpiewaków Bożych i tych pożytecznych niszczycieli robactwa i gąsienic.

Któż opisać zdolny ten strach niepojęty, jaki szerzy żywioł wodny wśród sarn, jeleni i zajęcy?

Tylko myśliwy zasępi swe czoło i współczuje wraz z poszkodowaną zwierzyną i boleje nad każdym podobnym losem, jaki w udziale przypadł jej specjalnie w tym roku już od wiosny. Widziałem trzy sarny brodzące we wodzie i w zbożu, które w panicznym strachu wyrywały, by ujść z życiem, przecież mającem swój ...urok.

Myślistwo polskie ponosiło już nieraz straty niepowetowane, ale powódź ostatnia niech będzie dla nas ostatniem „memento”, że przecież cała praca kilkuletnia i dorobek i wysiłek ogółu i ideowych jednostek na nic się przyda, jeśli zwierzynie nie przyjdziemy niejako z ofiarną pomocą i tą prawdziwie myśliwską pasją: ochraniać, dbać i o ile możności „rekordowo” i z królami polowań zerwać raz na zawsze. — Niech znikną przynajmniej w tym roku — na znak żałoby po stracie i wytopieniu tylu setek sarn i zajęcy i ptactwa — „królewskie rekordy” — a raczej wyniki ujemne niech się staną hasłem sezonu tegorocznego.

Radbym bardzo, by mię źle nie zrozumiano. Da Bóg, że znowu przyjdzie czas i zaświta inna zorza, jaśniejsza i dla myśliwych i dla tej ostoi naszej Matki-Przyrody, a w niej tych tęczowych dni, jakiemi są zawsze wyniki, czy to z polowań letnich, czy zimowych.

Oby Św. Hubert pobłogosławił.

Stanisław Haleniak.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 26 czerwca 1933.

Przewodniczył wiceprezes A. Mniszek, obecni byli: wiceprezes A. Sander, członkowie Wydziału M. Chrzanowski, Dr. St. Gajewski, W. Garapich, Z. Gronziewicz, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. St. Piechowski, St. Pieńczykowski i Dr. W. Ziembicki, tudzież zastępcy: inż. Z. Sander i inż. T. Sroczyński. Usprawiedliwił nieobecność A. Ulm, który bierze udział w posiedzeniu Komisji dla opracowania statutu Związku w Warszawie.

Wiceprezes A. Sander zdał sprawę z przebiegu obrad komisji dla sprawy nowelizacji prawa łowieckiego przy Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, w dniach 10, 11 i 12 czerwca b. r.

W obradach tych mówca wziął udział wraz z członkiem Wydziału M. Chrzanowskim i wiceprezesem Wydziału M. T. Ł. w Krakowie, Dr. Adamem Lardemerem.

Po trzydniowych, bardzo szczegółowych debatach, ustalono projekt prawa łowieckiego, w którym uzgodniono życzenia wyrażane przez przedstawicieli różnych stron Polski. Projekt ten, w swej części dotyczącej ściśle prawa łowieckiego wykazuje dość znaczne różnice od obowiązującej dziś ustawy; usuwa jej niedopatrzenia i uzupełnia jej luki. Przy ustalaniu czasów ochronnych uwzględniono warunki klimatyczne różnych stron Polski, a zróżniczkowanie to posunięto może nawet zbyt daleko, idąc za życzeniami przedstawicieli Towarzystw ideowych, bez formalnego nad niemi głosowania. Wynikiem takiego postępowania jest między innemi to, że słonka w $^{2}/_{3}$ obszaru Polski ma być strzelaną na wiosnę do końca maja, wbrew rezolucji Międzynarodowego Związku Łowieckiego, który zalecił dać jej czas ochronny już po pierwszych dniach kwietnia.

Sprawa organizacji łowieckiej weszła pod obrady dopiero w dniu 11 czerwca wieczorem. Reprezentanci regionalnych Towarzystw ideowych, stanęli zgodnie na stanowisku, że skoro ma być wprowadzony przymus zrzeszenia myśliwych całej Polski, to powinien on iść drogą przez Towarzystwa ideowe, mające pokryć nieprzerwaną siecią całą Polskę i mające razem wzięte, jak to jest zresztą i dzisiaj, stanowić Związek, któryby reprezentował myślistwo polskie wobec naczelnych Władz państwowych i na zewnątrz. To zgodne życzenie reprezentantów Towarzystw ideowych nie zostało jednak zaakceptowane przez resztę członków Komisji dla nowelizacji prawa łowieckiego, przyczem się okazało, że w danej chwili w obradach nie brał udziału żaden z członków Komisji dla opracowania statutu Związku. Wobec tej okoliczności i wobec niemożności osiągnięcia zgody w sprawie samej, zgodzono się na to, że sprawa będzie umówiowioną w dniu 12 czerwca na Wydziale wykonawczym Związku, w obecności Prezydjum tegoż.

Posiedzenie takie odbyło się rzeczywiście w dniu 12 czerwca, o godzinie 7-mej wieczorem, w obecności Prezesa Związku gen. Kazimierza Sosnkowskiego, a w nieobecności przedstawicieli Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, tudzież w nieobecności jednego z naszych przedstawicieli M. Chrzanowskiego, gdyż Panowie ci nie mogli z powodu swych zajęć zawodowych pozostać w Warszawie i na ten trzeci, zgóry niezapowiedziany, dzień obrad.

Na posiedzeniu tem sprawozdawca przedstawił raz jeszcze określone wyżej stanowisko wszystkich Towarzystw regjonalnych, dodając koncepcję Wielkopolskiego Związku Myśliwych, którego reprezentanci obawiali się majoryzacji ideowych myśliwych przez t. zw. „dzikich”, to jest myśliwych dotąd niezrzeszonych.

Prezes Związku gen. Kazimierz Sosnkowski oznajmił na to, że z koncepcję wysuniętą przez Towarzystwa regjonalne, zgodzić się nie może, bo w skuteczność jej nie wierzy, skoro Towarzystwa te, mając za sobą ogromne zasługi kulturalne, pod względem organizacyjnym nic dotąd nie zdziałały, tak że ich działalność pod tym względem równa się zeru. Wie nadto, że z koncepcją taką nie zgodzą się sfery rządowe, gdyż byłby to niejako rząd w rządzie, a więc o przeprowadzenie takiej koncepcji, mowca nie może się podjąć zabiegów.

Jeśli Towarzystwa ideowe nie zgodzą się na koncepcję takiego Związku, do któregoby mógł a raczej musiał należyć każdy chcący polować, gdyż właśnie ta jego przynależność do Związku byłaby podstawowym warunkiem uzyskania karty łowieckiej, to nie pozostałoby nic innego, jak dać sprawie upaść, ale wtedy konsekwencje takiego postawienia sprawy, będą musiały Towarzystwa regjonalne same sobie przypisać. Konieczne są dwie zasady: należenie myśliwych wprst do Związku i ta druga, że pieniądze muszą wpływać do Związku. Żądanie już dziś klucza, w jakim Towarzystwa ideowe miałyby uczestniczyć w funduszach przez Związek zbieranych, byłoby równoznaczne z votum nieufności dla Prezydjum Związku. Przy koncepcji Związku z bezpośrednią doń przynależnością wszystkich polujących, Towarzystwa ideowe nie przestaną istnieć, a subwencjonowane będą tak, jak na to będą zasługiwać. Ułatwienie Towarzystwom ideowym bytu przez danie im przywileju przymusowej do nich przynależności, byłoby skazaniem ich na marazm, przy równoczesnem odebraniu im charakteru klubowości, której nie można zarzucać, gdyż ona właśnie nadaje towarzystwom tym cechę ideowości, i jest niezawodnym czynnikiem podniesienia kultury łowieckiej. Mówca może to tylko uroczyście oświadczyć i zapewnić, że Zarząd Związku, któryby dopuścił, by którekolwiek towarzystwo ideowe, a tembardziej tak zasłużone jak Małopolskie Towarzystwo Łowieckie lub Wielkopolski Związek Myśliwych, miało upaść bez własnej winy, a z przyczyn stosunku do zamierzonej przyszłej organizacji myślistwa w Polsce, zostałby zdmuchnięty z powierzchni ziemi na najbliższem Walnem Zgromadzeniu Związku.

Wobec takiego postawienia sprawy, a w szczególności wobec oświadczenia Generała Prezesa, że za koncepcją przez Towarzystwa ideowe wysuniętą zabiegów czynić nie będzie, musieli przedstawiciele tych Towarzystw zgodzić się na koncepcję przez Prezesa przedstawioną.

Taki jest ostateczny rezultat obrad nad organizacją myślistwa w Polsce. — Myśl jest może dobrą, w razie jednak nie przeprowadzenia przymusu zrzeszenia, zamierzona reforma zmieniłaby radykalnie dotychczasowe podstawy organizacyjne Związku Stowarzyszeń Łowieckich, bez widocznej korzyści dla łowiectwa polskiego, której można dopatrywać się tylko w przymusie zrzeszenia myślistwa, usuwającym tę anomalję, iż z pracy kilkudziesięciu ideowców i z pieniędzy kilku tysięcy myśliwych zrzeszonych, korzystają dziesiątki tysięcy innych polujących, którzy niczem się nie przyczyniają do rozwoju łowiectwa.

Mówca (wiceprezes Sander) podniósł kilkakrotnie wybitną współpracę członka Wydziału M. Chrzanowskiego i wiceprezesa Oddziału krakowskiego Dr. Lardemera w komisji dla nowelizacji prawa łowieckiego.

Po wyczerpującej dyskusji, Wydział na wniosek Z. Gronziewicza, poparty przez Dr. W. Ziembickiego, uchwalił jednogłośnie, sprawozdanie przedstawicieli M. T. Ł. na konferencję odbytą w dniach 10, 11 i 12 czerwca 1933 w Warszawie, w sprawie nowelizacji prała łowieckiego, z przebiegu tej konferencji, jak i z zajętego przez nich stanowiska, przyjąć do zatwierdzającej wiadomości, oraz wyrazić im podziękowanie za ich żmudną pracę.

Wiceprezes A. Sander oznajmił następnie, że pułkownik Kazimierz Jackowski, zarządca lasów Adolfa br. Brunickiego, zwrócił się do M. T. Ł. w sprawie otwarcia strzelnicy w Lubieniu Wielkim. Strzelnicę tę oglądnął sprawozdawca wraz z p. Marjanem Słońskim. M. T. Ł. otrzymało zaproszenie na otwarcie strzelnicy. — Wydział uchwalił wysłać delegację na otwarcie strzelnicy w dniu 9 lipca i ofiarować na połączone z otwarciem premjowe strzelanie, nagrodę honorową z funduszów Towarzystwa.

W. Garapich podniósł konieczność skoordynowania w przyszłości terminów walnych zebrań M. T. Ł., strzelań premjowych, wystaw i t. p. imprez, z odbywającemi się w tym samym mniejwięcej czasie wyścigami konnemi i wyścigami automobilowemi, tak, aby te sprawy nie kolidowały z zebraniem M. T. Ł. i połączonemi z niem imprezami.

Wydział uznał słuszność wywodów mowcy i postanowił jego uwagi uwzględnić w przyszłości.

TREŚĆ NUMERU 17:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32